

SCHULZ BRUNO

WIOSNA

Schulz Bruno

Wiosna

«Public Domain»

Bruno S.

Wiosna / S. Bruno — «Public Domain»,

Ciesz się klasyką! Miłego czytania!

Содержание

I	5
II	6
III	9
IV	10
V	11
VI	12
VII	13
VIII	14
IX	15
X	16
XI	17
XII	18
XIII	19
XIV	21
XV	22
XVI	23
Конец ознакомительного фрагмента.	24

Bruno Schulz

Wiosna

I

Oto jest historia pewnej wiosny, wiosny, która była prawdziwsza, bardziej olśniewająca i jaskrawsza od innych wiosen, wiosny, która po prostu wzięła serio swój tekst dosłowny, ten manifest natchniony, pisany najjaśniejszą, świąteczną czerwienią, czerwienią laku¹ pocztowego i kalendarza, czerwienią ołówka kolorowego i czerwienią entuzjazmu, amarantem² szczęśliwych telegramów stamtąd...

Każda wiosna tak się zaczyna, od tych horoskopów ogromnych i oszałamiających, nie na miarę jednej pory roku, w każdej – żeby to raz powiedzieć – jest to wszystko: nieskończone pochody i manifestacje, rewolucje i barykady, przez każdą przechodzi w pewnej chwili ten gorący wicher zapamiętania, ta bezgraniczność smutku i upojenia szukająca nadaremnie adekwatu³ w rzeczywistości.

Ale potem te przesady i te kulminacje, te spiętrzenia i te ekstazy wstępują w kwitnienie, wchodzą całe w bujanie chłodnego listowia, we wzburzone nocą wiosenne ogrody i szum je pochłania. Tak wiosny sprzeniewierzają się sobie – jedna za drugą, pogrążone w zdyszany szelest kwitnących parków, w ich wezbrania i przyływy – zapominają o swych przysięgach, gubią liść po liściu ze swego testamentu.

Ta jedna wiosna miała odwagę wytrwać, pozostać wierną, dotrzymać wszystkiego. Po tylu nieudanych próbach, wzlotach, inkantatach⁴ chciała się wreszcie naprawdę ukonstytuować, wybuchnąć na świat wiosną generalną i już ostateczną.

Ten wicher zdarzeń, ten huragan wypadków: szczęśliwy zamach stanu, te dni patetyczne, górne i triumfalne! Chciałbym, by krok tej historii pochwycił ich takt porywający i natchniony, przejął bohaterski ton tej epopei, zrównał się w marszu z rytmem tej wiosennej Marsylianki⁵.

Tak nieobjęty jest horoskop wiosny! Kto może jej wziąć za złe, że uczy się ona czytać go naraz na sto sposobów, kombinować na oślep, sylabizować we wszystkich kierunkach, szczęśliwa, gdy jej się uda coś odcyfrować wśród mylącego zgadywania ptaków. Czyta ona ten tekst w przód i na wspak, gubiąc sens i podejmując go na nowo, we wszystkich wersjach, w tysiącnych alternatywach, trelach i świergotach. Bo tekst wiosny znaczony jest cały w domyślnikach, w niedomówieniach, w elipsach⁶, wykropkowany bez liter w pustym błękiecie, i w wolne luki między sylabami ptaki wstawiają kapryśnie swe domysły i swe odgadnienia. Dlatego będzie ta historia, wzorem tego tekstu, ciągnęła się na wielu rozgałęzionych torach i cała przetykana będzie wiosennymi myślnikami, westchnieniami i wielokropkami.

¹ lak – brązowoczerwona substancja, używana dawniej do pieczętowania listów. [przypis edytorski]

² amarant – czerwień o lekko fioletowym odcieniu. [przypis edytorski]

³ adekwat – odpowiednik. [przypis edytorski]

⁴ inkantat – właśc. inkantacja: zaśpiew, zaklęcie. [przypis edytorski]

⁵ Marsylianka – pieśń z czasów Rewolucji Francuskiej, która stała się hymnem Francji. [przypis edytorski]

⁶ elipsa – figura retoryczna polegająca na usunięciu ze zdania jakiegoś słowa. [przypis edytorski]

II

W te noce przedwiosenne, dzikie i rozprzestrzenione, nakryte ogromnymi niebami, jeszcze surowymi i bez woni, prowadzącymi wśród wertepów i rozłogów powietrznych w gwiazdne bezdroża – ojciec zabierał mnie ze sobą na kolację do małej restauracji ogrodowej, zamkniętej między tylnymi murami ostatnich domów rynku.

Szliśmy w mokrym świetle latarni, brzęczących w podmuchach wiatru, na przełaj przez wielki sklepiony plac rynku, samotni, przywaleni ogromem labiryntów powietrznych, zagubieni i zdezorientowani w pustych przestrzeniach atmosfery. Ojciec podnosił do nieba twarz oblaną nikłą poświatą i patrzył z gorzką troską w ten żwir gwiazdny rozsiany po mieliznach szeroko rozgałęzionych i rozlanych wirów. Nieregularne ich i nieprzeliczone zagęszczenia nie porządkowały się jeszcze w żadne konstelacje, żadne figury nie opanowywały tych rozległych i jałowych rozlewisk. Smutek pustkowi gwiazdnych ciążył nad miastem, latarnie przetykały dołem noc wiązkami promieni, wiążąc je obojętnie od węzła do węzła. Pod tymi latarniami przechodnie zatrzymywali się po dwóch, po trzech w kręgu światła, które stwarzało dookoła nich przelotne złudzenie pokoju w świetle lampy stołowej – w nocy obojętnej i nieprzytulnej, rozpadającej się górą w nieregularne przestrzenie, w dzikie krajobrazy powietrzne, wystrzępione przez uderzenia wiatru, żalosne i bezdomne. Rozmowy nie kleiły się, z oczyma w głębokim cieniu kapeluszy uśmiechali się, słuchając w zamyśleniu dalekiego szumu gwiazd, którym rosły jak na drożdżach przestrzenie tej nocy.

W ogrodzie restauracyjnym ścieżki były wyżyrowane. Dwie latarnie na słupach syczały w zamyśleniu. Panowie w czarnych tużurkach⁷ siedzieli, po dwóch – po trzech, zgarbieni nad biało nakrytymi stolikami, zapatrzeni bezmyślnie w lśniące talerze. Siedząc tak, obliczali w duchu ciągi i posunięcia na wielkiej czarnej szachownicy nieba, widzieli w duchu wśród gwiazd przeskakujące konie i stracone figury i konstelacje wstępujące natychmiast na ich miejsce.

Muzykanci na estradzie maczali wąsy w kuflach gorzkiego piwa, milczeli tępo, zapatrzeni w głąb siebie. Ich instrumenty, skrzypce i wiolonczele o szlachetnych konturach, leżały porzucone na boku pod bezgłośnie szumiącą ulewą gwiazd. Czasami brali je do rąk i przymierzali na próbę, stroili jęklwie na ton swych piersi, którego próbowali chrząkając. Potem znów je odkładali, jak gdyby jeszcze niedojrzałe i nie na miarę tej nocy, która płynęła obojętnie dalej. Wtedy w ciszy i odpływie myśli, podczas gdy widelce i noże cicho pobrzękiwały nad biało nakrytymi stołami, wstawały nagle skrzypce same, przedwcześnie dorosłe i pełnoletnie, dopiero co jeszcze tak jęklwe i niepewne, stały teraz wymowne, smukłe i wcięte w talii i zdawały sprawę ze swego pełnomocnictwa, podejmowały odroczoną na chwilę sprawę ludzką i toczyły dalej ten przegrany proces przed obojętnym trybunałem gwiazd, wśród których wodnym drukiem rysowały się esownice i profile instrumentów, fragmentaryczne klucze, nie dokończone liry i łabędzie, imitacyjny⁸, bezmyślny komentarz gwiazdny na marginesie muzyki.

Pan fotograf, który już od pewnego czasu rzucał ku nam znad sąsiedniego stołu porozumiewawcze spojrzenia, przysiadł się wreszcie do nas, przenosząc swój kufel piwa ze stołu na stół. Uśmiechał się wieloznacznie, walczył z własnymi myślami, prztykał palcami, gubiąc wciąż na nowo nieuchwytną pointę sytuacji. Czuliśmy od początku jej paradoksalność. To zaimprovizowane obozowisko restauracyjne pod auspicjami⁹ dalekich gwiazd bankrutowało bez ratunku, załamywało się nędznie, nie mogąc sprostać rosnącym bez miary pretensjom nocy. Cóż mogliśmy przeciwstawić tym bezdennym pustkowiom? Noc przekreślała tę ludzką imprezę, której nadaremnie próbowały bronić skrzypce, zajmowała tę lukę, zaciągała swe gwiazdozbiory na odzyskane pozycje.

⁷ *tużurek* – długi, ciemny surdut z przełomu XIX i XX w. [przypis edytorski]

⁸ *imitacyjny* (daw.) – naśladowczy. [przypis edytorski]

⁹ *pod auspicjami* – pod opieką, pod wpływem. [przypis edytorski]

Widzieliśmy rozprzegające się obozowisko stołów, pobojuwisko porzucanych serwet i obrusów, które noc przekraczała w triumfie, świetlista i nieprzeliczona. Podnieśliśmy się i my, podczas gdy wyprzedzając ciała, myśl nasza już biegła od dawna za gwarnym turkotem jej wozów, za dalekim, szeroko rozsypanym turkotem gwiezdnych tych wielkich i jasnych szlaków.

Tak szliśmy pod rakietami jej gwiazd, antycypując¹⁰ w duchu przymkniętymi oczyma jej coraz wyższe i wyższe olśnienia. Ach, ten cynizm triumfującej nocy! Objąwszy w posiadanie całe niebo, grała ona teraz w domino na jego przestrzeniach, opieszale i bez rachuby, zagarniając obojętnie milionowe wygrane. Potem, znudzona, kreśliła na pobojuwisku odwróconych tabliczek przezroczyste gryzmoły, uśmiechnięte twarze, wciąż jeden i ten sam uśmiech w tysiącznych powtórzeniach, który za chwilę przechodził – już wieczny – do gwiazd, rozsypywał się w gwiezdną obojętność.

Wstąpiliśmy po drodze do cukierni na ciastka. Ledwie weszliśmy przez dźwięczne, szklane drzwi do tego białego, lukrowanego wnętrza, pełnego lśniącego cukru¹¹ – noc stanęła od razu wszystkimi gwiazdami, baczna nagle i uważna, ciekawa, czy jej się nie wymkniemy. Czekwała na nas cały czas cierpliwie, stróżując pod drzwiami, świecąc przez szyby z wysoka nieruchomymi gwiazdami, podczas gdy z głębokim namysłem wybieraliśmy ciastka. Wtedy ujrzałem po raz pierwszy Biankę. Stała profilem przy ladzie, z guwernantką¹², w białej sukience, smukła i kaligraficzna, jakby wyszła z Zodiaku. Nie odwracała się, stojąc we wzorowym kontrapoście¹³ młodych dziewcząt, i jadła ciastko z kremem. Nie widziałem jej wyraźnie, cały jeszcze poprzekreślany gzygzakami¹⁴ linii gwiezdnych. Tak po raz pierwszy skrzyżowały się nasze horoskopy bardzo jeszcze zagmatwane. Spotkały się i rozwiły obojętnie. Nie zrozumieliśmy jeszcze naszego losu w tym wczesnym gwiezdnych aspekcie i wyszliśmy obojętnie, dźwięcząc szklanymi drzwiami.

Wracaliśmy potem okreśną drogą przez odległe przedmieście. Domy stały się coraz niższe i rzadsze, wreszcie rozstały się przed nami ostatnie i wkroczyliśmy w inny klimat. Weszliśmy nagle w łagodną wiosnę, w ciepłą noc srebrzącą się po błocie młodym, dopiero co wzeszłym, fiołkowym księżycem. Ta noc przedwiosenna awansowała w pośpiesznym tempie, uprzedzała gorączkowo swe późne fazy. Powietrze, zaprawione dopiero co jeszcze zwykłą cierpkością tej pory, stało się nagle słodkie i mdłe, pełne zapachu deszczówki, wilgotnego ładu i pierwszych śnieżynek zakwitających lunatycznie w białym świetle magicznym. I aż dziw, że pod tym szczodrym księżycem nie zarośla się noc galareta żabią na srebrnych błotach, nie wylęgała się ikra, nie rozgadała się tysiącem plotkujących pyszczków na tych zwirowiskach nadrzecznych, przeciekających wszystkimi porami lśniąca siatka słodkiej wody. I trzeba było dopowiedzieć, dorozumieć się tego rehotu w tej nocy gwarnej i źródlanej, i pełnej dreszczów podskórnych, ażeby – na chwilę wstrzymana – ruszyła dalej i księżyc kulminował, coraz bielszy i bielszy, jak gdyby przelewał swą białość z czary do czary, coraz wyższy i coraz promienniejszy, coraz bardziej magiczny i transcendentalny¹⁵.

Tak szliśmy pod przybierającą grawitacją księżyca. Ojciec i pan fotograf wzięli mnie między siebie, gdyż padałem z nóg z wielkiej senności. Nasze kroki chrzęściły w mokrym piasku. Dawno już spałem idąc i miałem już pod powiekami całą fosforescencję¹⁶ nieba, pełną świetlistych znaków, sygnałów i gwiezdnych fenomenów, gdy wreszcie stanęliśmy w szczerym polu. Ojciec ułożył mnie na płaszczu rozpostartym na ziemi. Z zamkniętymi oczami widziałem jak słońce, księżyc i jedenaście gwiazd ustawiło się w paradzie na niebie, defilując przede mną. – Brawo, Józefie – zawołał ojciec z uznaniem i klasnął w dłonie. Był to oczywisty plagiat popełniony na innym Józefie¹⁷, zastosowany

¹⁰ antycypować – przewidywać, przeczuwać. [przypis edytorski]

¹¹ cukry – dziś: cukierki, słodczyce. [przypis edytorski]

¹² guwernantka – prywatna, domowa nauczycielka. [przypis edytorski]

¹³ kontrapost – pozycja, w której ciężar ciała opiera się głównie na jednej nodze. [przypis edytorski]

¹⁴ gzygzak – dziś: zygzak. [przypis edytorski]

¹⁵ transcendentalny – wykraczający poza rzeczywistość poznawalną zmysłami. [przypis edytorski]

¹⁶ fosforescencja – świecenie w ciemności. [przypis edytorski]

¹⁷ Był to oczywisty plagiat popełniony na innym Józefie – nawiązanie do Biblii. [przypis edytorski]

do innych zgoła okoliczności. Nikt nie robił mi z tego powodu zarzutu. Mój ojciec Jakub kiwał głową i cmokał językiem, a pan fotograf rozstawił swój trójnóg na piasku, rozsunął miech aparatu jak harmonię i pogrążył się cały w fałdach czarnego sukna: fotografował to osobliwe zjawisko, ten lśniący horoskop na niebie, podczas gdy ja z głową płynącą w blasku leżałem olśniony na płaszczu i podtrzymywałem bezwładnie ten sen do ekspozycji¹⁸.

¹⁸ *ekspozycja* – tu: naświetlenie. [przypis edytorski]

III

Dnie stały się długie, jasne i rozległe, za rozległe niemal na swą treść, jeszcze ubogą i nijaką. Były to dni na wyrost, dni pełne czekania, przybladłe z nudy i niecierpliwości. Jasne tchnienie, lśniący wiatr szedł przez pustkę tych dni, jeszcze nie zmacony wyziewami ogrodów nagich i pełnych słońca, wydmuchiwał do czysta ulice i stały długie i jasne, odświeżone zamieciono, jak gdyby czekały na czyjeś dalekie jeszcze i niewiadome przyjście. Słońce zmierzało powoli do punktów ekwinokcjalnych¹⁹, zwalniało w biegu, dochodziło do pozycji wzorowej, w której stanąć miało nieruchomo w idealnej równowadze, wypuszczając strumienie ognia, porcja za porcją, na pustą i chłonącą ziemię.

Jasny i nieskończony przeciąg wiał przez całą szerokość horyzontu, ustawiał szpalery i aleje pod czyste linie perspektywy, wygładzał się w wielkim i pustym wianu i stawał wreszcie, zatchniony, ogromny i lustrzany, jak gdyby chciał w swym wszechobejmującym zwierciadle zamknąć idealny obraz miasta, fatamorgane²⁰ przedłużoną w głąb jego świetlanej wklęsłości. Wtedy świat nieruchomiał na chwilę, stawał bez tchu, olśniony, chcąc wejść cały w ten złudny obraz, w tę prowizoryczną wieczność, którą mu otwierano. Ale szczęśliwa oferta mijała, wiatr łamał swe zwierciadło i czas brał nas znów w swe posiadanie.

Nadeszły ferie wielkanocne, długie i nieprzejrzane. Wolni od szkoły wałęsaliśmy się po mieście bez celu i potrzeby, nie umieliśmy korzystać ze swobody. Była to wolność całkiem pusta, nieokreślona i bez zastosowania. Sami jeszcze bez definicji, oczekiwaliśmy jej od czasu, który nie umiał jej znaleźć, gubiąc się wśród tysiąca wybiegów.

Przed kawiarnią ustawiono już stoliki na bruku. Panie siedziały przy nich w jasnych kolorowych sukienkach i połykały wiatr małymi łykami jak lody. Spódniczki furkotały, wiatr kąsał je od dołu, jak mały rozwścieczony piesek, panie dostawały wypieków, paliły je twarze od suchego wiatru i pierzchły wargi. Jeszcze trwał antrakt²¹ i wielka nuda antraktu, świat zbliżał się powoli i z tremą do jakiejś granicy, dobijał za wcześnie do jakiejś mety i czekał.

Mieliśmy w tych dniach wszyscy wilczy apetyt. Biegliśmy wysuszeni wiatrem do domu, ażeby spożywać w tępych zamyśleniu ogromne kawały chleba z masłem, kupowaliśmy na ulicy wielkie, trzeszczące od świeżości obwarzanki, siedzieliśmy wszyscy rzędem w rozległej sieni kamienicy w rynku – pustej i sklepionej – bez jednej myśli w głowie. Przez niskie arkady widać było biały i czysty plac rynkowy. Beczki po winie stały rzędem pod ścianą i pachniały. Siedzieliśmy na długiej ladzie, na której w dni targowe sprzedawano kolorowe chustki chłopskie, i bębnieliśmy nogami w deski z bezradności i nudy.

Nagle Rudolf mając usta zapchane obwarzankami wyjął z zanadru markownik²² i rozwinął go przede mną.

¹⁹ punktów ekwinokcjalny (z łac.) – punkt zrównania dnia z nocą. [przypis edytorski]

²⁰ fatamorgana – złudzenie optyczne, polegające na przybliżaniu odległych widoków za sprawą warstw powietrza o różnej temperaturze. [przypis edytorski]

²¹ antrakt – przerwa między aktami spektaklu teatralnego. [przypis edytorski]

²² markownik (daw.) – klaser ze znaczkami. [przypis edytorski]

IV

Zrozumiałem wtedy, dlaczego ta wiosna była dotychczas tak pusta, wklęsła i zatchnięta. Nie wiedząc o tym, uciskała się w sobie, milkła, cofała się w głąb – robiła miejsce, otwierała się cała w czystą przestrzeń, pusty błękit bez mniemania i bez definicji – zdziwiona naga forma dla przyjęcia niewiadomej treści. Stąd ta błękitna, jakby ze snu zbudzona neutralność, ta wielka i jakby obojętna gotowość na wszystko. Ta wiosna trzymała się cała w pogotowiu – bezludna i obszerna, stawiała się cała do dyspozycji bez tchu i bez pamięci – czekała jednym słowem na objawienie. Któż mógł przewidzieć, że wyjdzie ono całkiem gotowe, w pełnym rynsztunku i olśniewające – z markownika Rudolfa.

Były to przedziwne skróty i formuły, recepty na cywilizację, poręczne amulety, w których można było ująć między dwa palce esencję klimatów i prowincyj²³. Były to przekazy na imperia i republiki, na archipelagi i kontynenty. Cóż więcej mogli posiadać cesarze i uzurpatorowie, zdobywcy i dyktatorzy? Poznałem nagle słodycz władzy nad ziemiami, kolec tego niedosytu, który tylko panowaniem ukoić można. Z Aleksandrem Macedońskim zapragnąłem świata całego. I ani o piędź²⁴ ziemi mniej niż świata.

²³ *prowincyj* – dziś popr. forma D.lm: *prowincji*. [przypis edytorski]

²⁴ *piędź* – dawna miara długości. [przypis edytorski]

V

Ciemny, żarliwy, pełen zapiekłej miłości odbierałem defiladę stworzenia, maszerujące kraje, lśniące pochody, które widziałem w interwałach²⁵, poprzez purpurowe zaćmienia, ogłuszony od uderzeń krwi, bijącej do serca w takt tego uniwersalnego marsza wszystkich narodów. Rudolf przepuszczał przed moimi oczyma te bataliony i pułki, odprawiał paradę, pełen gorliwości i zaaferowania. On, właściciel tego albumu, degradował się dobrowolnie jakby do roli adiutanta²⁶, składał raport uroczyście, pełen przejęcia, jak przysięgę, zaślepiony i zdeorientowany w swej roli niejasnej i pełnej dwuznaczności. W końcu w uniesieniu, w napływie jakiejś zapamiętałej wielkoduszności przypiął mi, jak order do piersi – różową Tasmanię, pałającą jak maj, i Hajdarabad mrowiący się cygańskim bełkotem splątanych alfabetów.

²⁵ *interwał* – odległość, odstęp. [przypis edytorski]

²⁶ *adiutant* – oficer pozostający do dyspozycji dowódcy. [przypis edytorski]

VI

Wtedy to miało miejsce to objawienie, ta nagle ukazana wizja rozplamienionej piękności świata, wtedy to przysłała ta wieść szczęśliwa, posłanie tajemne, ta misja specjalna o nieobjętych możliwościach bytu. Otworzyły się na oścież horyzonty jaskrawe, srogie i zapierające oddech, świat drżał i migotał w swych przegubach, przechylał się niebezpiecznie, grożąc wyłamaniem się z wszystkich miar i reguł.

Czym jest dla ciebie, drogi czytelniku, marka pocztowa²⁷. Czym jest ten profil Franciszka Józefa I²⁸ z łysiną uwieńczoną wieńcem wawrzynu? Czy nie jest on symbolem codzienności, zdeterminowaniem wszystkich możliwości, rękojmiami²⁹ nieprzekraczalnych granic, w których już raz na zawsze świat jest zamknięty?

Świat był naówczas objęty ze wszech stron Franciszkiem Józefem I i nie było wyjścia poza niego. Na wszystkich horyzontach wyrastał, zza wszystkich węglów³⁰ wynurzał się ten profil wszechobecny i nieunikniony, zamykał świat na klucz, jak więzienie. I oto, gdyśmy już stracili nadzieję, pełni gorzkiej rezygnacji, pogodzili się wewnętrznie z jednoznacznością świata, z tą ciasną niezmiennością, której potężnym gwarantem był Franciszek Józef I – wtedy znienacka, jak rzecz nieważną otworzyłeś przede mną ten markownik, o Boże, pozwoliłeś rzucić mimochodem spojrzenie w tę księgę łuszczącą się blaskiem, w markownik strącający swe szaty, stronica za stronicą, coraz jaskrawszy i coraz przeraźliwszy... Któż weźmie mi za złe, że stałem wówczas olśniony, bezsilny ze wzruszenia, a z oczu przepelnionych blaskiem lały mi się łzy. Co za olśniewający relatywizm³¹, co za czyn kopernikański, co za płynność wszystkich kategorii i pojęć.

Więc tyle dałeś sposobów istnienia, o Boże, więc taki Twój świat jest nieprzeliczony! To jest więcej, niż w najśmielszych marzeniach roilem. Więc prawdą jest ta wczesna antycypacja duszy, która wbrew oczywistości upierała się przy tym, że świat jest nieprzeliczony!

²⁷ marka pocztowa – dziś: znaczek pocztowy. [przypis edytorski]

²⁸ Franciszek Józef I (1830–1916) – cesarz cesarstwa austro-węgierskiego od 1848. [przypis edytorski]

²⁹ rękojmia – gwarancja. [przypis edytorski]

³⁰ węgiel – miejsce, gdzie mury stykają się pod kątem prostym. [przypis edytorski]

³¹ relatywizm – względność. [przypis edytorski]

VII

Świat był naówczas ograniczony Franciszkiem Józefem I. Na każdej marce pocztowej, na każdej monecie i na każdym stemplu stwierdzał jego wizerunek niezmiennosc świata, niewzruszony dogmat jego jednoznaczności. Taki jest świat i nie masz innych światów prócz tego – głosiła pieczęć z cesarsko-królewskim starcem. Wszystko inne jest urojeniem, dziką pretensją i uzurpacją. Na wszystkim położył się Franciszek Józef I i zahamował świat w jego wzroście.

Skłaniamy się z głębi naszej istoty do prawomyślności, drogi czytelniku. Lojalność naszej układnej natury nie jest nieczuła na urok autorytetu. Franciszek Józef I był najwyższym autorytetem. Jeżeli ten autorytatywny starzec rzucał całą swą powagę na szalę tej prawdy – nie było rady, trzeba było zrezygnować z urojeń duszy, z żarliwych jej antycypacji – zaaranżować się, jak się da, w tym jedynie możliwym świecie, bez złudzeń i bez romantyki – i zapomnieć.

Ale gdy już więzienie zamyka się nieodwołalnie, gdy ostatni otwór jest zamurowany, gdy wszystko sprzysięgło się, ażeby cię przemilczeć, o Boże, gdy Franciszek Józef I zatarasował, zalepił ostatnią szparę, ażeby cię nie dojrzano, wtedy powstałeś w szumiącym płaszczu mór i kontynentów i kłam mu zadałeś. Ty, Boże, wziąłeś wtedy na siebie odium herezji i wybuchnąłeś na świat tym ogromnym kolorowym i wspaniałym bluźnierstwem. O, Herezjarcho wspaniały! Uderzyłeś wtedy we mnie tą płonąca księgą, eksplodowałeś z kieszeni Rudolfa markownikiem. Nie znałem jeszcze wówczas trójkątnego kształtu markownika. Zamieniałem go w mym zaślepieniu z papierowym pistoletem, z którego strzelaliśmy w szkole pod ławką ku utrapieniu profesorów. O, jakże wystrzeliłeś z niego, o Boże! To była Twoja żarliwa tyrada, to była płomienna i świetna filipika³² Twoja przeciw Franciszkowi Józefowi I i jego państwu prozy, to była prawdziwa księga blasku.

Otworzyłem ją i zajaśniało przede mną kolorami światów, wiatrem nie objętych przestrzeni, panoramą wirujących horyzontów. Ty siedłeś przez nią, karta za kartą, ciągnąc za sobą ten tren utkany ze wszystkich stref i klimatów. Kanada, Honduras, Nikaragua, Abrakadabra, Hiporabundia... Zrozumiałem cię, o Boże. To były wszystko wybiegi Twojego bogactwa, to były pierwsze lepsze słowa, które Ci się nawinęły. Sięgnąłeś ręką do kieszeni i pokazałeś mi, jak garść guzików, rojące się w Tobie możliwości. Tobie nie chodziło o ścisłość, mówiłeś, co Ci ślina na język przyniosła. Mogłeś tak samo powiedzieć: Panfibras i Haleliwa, i powietrze załopotałoby wśród palm papugami do potęgi, a niebo, jak ogromna, stokrotna, szafirowa róża, rozdmuchana do dna – ukazałoby olśniewające sedno – oko Twoje pawiookie, urzęsione i przeraźliwe, i zamigotałoby jaskrawym rdzeniem Twej mądrości, załśniłoby nadkolorem, zawiałoby nadaromatem. Ty chciałeś mnie olśnić, o Boże, pochwalić się, skokietować mnie, bo i Ty masz chwile próżności, kiedy się sam sobą zachwycasz. O jakże kocham te chwile.

Jakże pograżony zostałeś, Franciszku Józefie I i twoja ewangelia prozy! Nadaremnie szukały cię moje oczy. Na koniec znalazłem cię. Byłeś także w tym tłumie, lecz jakże mały, zdetronizowany i szary. Maszerowałeś z innymi w prochu gościńca tuż za Ameryką Południową, a przed Australią, i śpiewałeś z innymi: Hosanna!

³² *filipika* – żarliwa mowa oskarżycielska. [przypis edytorski]

VIII

Zostałem adeptem nowej ewangelii. Zaprzyjaźniłem się z Rudolfem. Podziwiałem go, przeczuwając niejasno, że jest on tylko narzędziem, że księga dla kogo innego jest przeznaczona. W istocie on zdawał się być raczej jej stróżem. Katalogował, przylepiał, odlepiał, chował na klucz do szafy. W gruncie rzeczy był smutny, jak ten, który wiedział, że jego będzie ubywać, podczas gdy ja przybierać będę. Był jak ten, który przyszedł prostować ścieżki Pańskie.

IX

Miałem wiele powodów do przyjęcia, że księga ta była dla mnie przeznaczona. Wiele znaków wskazywało na to, że do mnie zwracała się ona jako misja specjalna, posłanie i poruczenie osobiste. Poznałem to już po tym, że nikt nie czuł się jej właścicielem. Nawet Rudolf, który ją raczej obsługiwał. Była mu w gruncie rzeczy obcą. Był on jak niechętny i leniwy sługa w pańszczyźnie obowiązku. Niekiedy zazdrość zalewała mu serce goryczą. Buntował się wewnętrznie przeciwko swej roli klucznika skarbu, który do niego nie należał. Patrzył z zazdrością na refleks dalekich światów, wędrujących cichą gamą kolorów po mojej twarzy. Dopiero odbity od mego oblicza, dochodził go daleki odblask tych kart, w których dusza jego nie miała udziału.

X

Widziałem raz prestidigitatora³³. Stał on na estradzie szczupły, ze wszech stron widoczny, i demonstrował swój cylinder, ukazując wszystkim puste jego i białe dno. W ten sposób zabezpieczywszy swą sztukę ponad wszelką wątpliwość przed podejrzeniem oszukańczych manipulacji, zakreślił pałeczką w powietrzu splątany swój znak magiczny i natychmiast zaczął z przesadną precyzją i naocznością wywlekać laseczką z cylindra wstążki papierowe, kolorowe wstążki, łóckami, sążniami, na koniec kilometrami. Pokój napełniał się tą kolorową szeleszczącą masą, stawał się jasny od tego stokrotnego rozmnożenia, od spienionej i lekkiej bibułki, od świetlanego spiętrzenia, a on nie przestawał wywlekać tego nie kończącego się wątk³⁴, mimo przerażonych głosów, pełnych zachwyconego protestu, okrzyków ekstazy, spazmatycznych płaczów, aż w końcu stawało się jasne, jak na dłoni, że go to nic nie kosztuje, że czerpie tę obfitość nie z własnych zasobów, że mu po prostu otworzyły się źródła nadziemskie, nie podług ludzkich miar i rachub.

Ktoś wówczas, predestynowany³⁵ do recepcji³⁶ głębszego sensu tej demonstracji, odchodził do domu zamyślony i olśniony wewnętrznie, przeniknięty do głębi prawdą, która weń weszła: Bóg jest nieprzeliczony...

³³ *prestidigitator* – sztukmistrz, iluzjonista. [przypis edytorski]

³⁴ *wątek* – dziś popr. forma D.lp: wątku. [przypis edytorski]

³⁵ *predestynowany* – przeznaczony. [przypis edytorski]

³⁶ *recepcja* – odbiór. [przypis edytorski]

XI

Tu jest miejsce do rozwinięcia krótkiej paraleli między Aleksandrem Wielkim a moją osobą. Aleksander Wielki czuły był na aromaty krajów. Nozdrza jego przeczuwały niesłychane możliwości. Był on jednym z tych, nad których twarzą przesunął Bóg swą dłoń we śnie, tak że wiedzą, czego nie wiedzą, stają się pełni domysłów i podejrzeń, a przez zamknięte powieki przesuwają się im refleksy³⁷ dalekich światów. Wziął on jednak aluzje boskie zbyt dosłownie. Będąc człowiekiem czynu, czyli płytkiego ducha, wytłumaczył sobie misję swoją jako posłannictwo zdobywcy świata. Jego pierś napełniało to samo nienasycenie, co moja, te same westchnienia rozszerzały je, wstępując w jego duszę, horyzont za horyzontem, krajobraz za krajobrazem. Nie miał nikogo, kto by sprostował jego pomyłkę. Nawet Arystoteles go nie rozumiał. Tak umarł rozczarowany, mimo że zdobył świat cały, zwątpiwszy o Bogu, który się wciąż przed nim usuwał, i o jego cudach. Jego portret zdobił monety i marki wszystkich krajów. Za karę stał się on Franciszkiem Józefem swoich czasów.

³⁷ *refleks* – odbicie. [przypis edytorski]

XII

Chciałbym dać czytelnikowi choć przybliżone wyobrażenie, czym była wówczas ta księga, w której kartach preliminarowały³⁸ się i układały ostateczne sprawy tej wiosny. Niewymowny, niepokojący wiatr szedł lśniącem szpalerem tych marek, udekorowaną ulicą herbów i sztandarów, rozwijając żarliwie godła i emblemy³⁹ falujące w zatchnionej ciszy, w cieniu chmur groźnie wyrosłym nad horyzontem. Potem zjawiali się nagle pierwsi heroldzi na pustej ulicy w galowych strojach, z czerwonymi opaskami na ramionach, lśniący od potu, bezradni, pełni misji i zaferowania. Dawali znaki w milczeniu, wzruszeni do głębi i pełni uroczystej powagi, i już mroczyła ulica od nadciągającej demonstracji, ciemniały ze wszystkich przecnic szpalery w chrzęście tysięcy nadchodzących nóg. Była to ogromna manifestacja krajów, uniwersalny pierwszy maj, monstr-parada światów. Świat manifestował tysiącem jak do przysięgi wzniesionych rąk, flag i sztandarów, manifestował tysiącem głosów, że nie jest za Franciszkiem Józefem I, ale za kimś o wiele, o wiele większym. Nad wszystkim falował kolor jasnoczerwony, niemal różowy, niewymowny, wyzwalający kolor entuzjazmu. Z San Domingo, z San Salvador, z Florydy nadchodziły delegacje zdyszane i gorące, całe w garniturach malinowych, i kłaniały się melonikami koloru czereśni, spod których ulatywały rozkrzyczane szczygły, po dwa, po trzy. Lśniący wiatr wyostrzał w szczęśliwych przelotach blask trąb, otrząpywał miękko i bezsilnie kanty instrumentów, roniące na wszystkich brzegach ciche miotełki elektryczności. Mimo natłoku, mimo defilady tysięcy, wszystko odbywało się w porządku, ogromna rewia rozwijała się planowo i w ciszy. Są chwile, iż flagi z balkonów falujące gorąco i gwałtownie, wijące się w zrzędlonym powietrzu w amarantowych⁴⁰ torsjach, w gwałtownych cichych trzepotach, w daremnych wzlotach entuzjazmu – wstają nieruchomo, jak na apel, i cała ulica staje się czerwona, jaskrawa i pełna milczącego alarmu, podczas gdy w pociemniałej dali odlicza się uważnie głucho saluty kanonady, czterdzieści dziewięć detonacji, w mroczniejącym powietrzu.

Potem horyzont chmurnieje raptownie jak przed wiosenną burzą, błyszczą tylko jaskrawo instrumenty orkiestr i w ciszy słychać pomruk ciemniejącego nieba, szum dalekich przestworzy, podczas gdy z pobliskich ogrodów zapach czeremchy nadpływa w skupionych ładunkach i rozładowuje się bezbronną w niewymownych rozprzestrzenieniach.

³⁸ *preliminować* – wstępnie szacować dochody i wydatki. [przypis edytorski]

³⁹ *emblem* a. *emblemat* – tu: znak. [przypis edytorski]

⁴⁰ *amarantowy* – czerwony o lekko fioletowym odcieniu. [przypis edytorski]

XIII

Aż pewnego dnia przy końcu kwietnia było przedpołudnie szare i ciepłe, ludzie szli, patrząc przed siebie w ziemię, zawsze w ten metr kwadratowy wilgotnej ziemi przed sobą, i nie czuli, że bokami mijają drzewa parku, czarno rozgałęzione, pękające w rozlicznych miejscach w słodkie jątrzące się rany.

Uwikłane w czarnej gałęzistej sieci drzew szare, duszne niebo leżało ludziom na karku – wichrowato spiętrzone, bezforemnie ciężkie i ogromne jak pierzyna. Ludzie gramolili się spod niego na rękach i nogach, jak chrabąszcze w tej ciepłej wilgoci, obwąchujące czułymi różkami słodką glinę. Świat leżał głuchy, rozwijał się i rósł gdzieś w górze, gdzieś z tyłu i w głębi – błogo bezsilny – i płynął. Chwilami zwalniał i przypominał coś mglisto, gałęził się drzewami, oczkował gęstą, lśniąca siatką ćwierkania ptasiego narzuconą na ten dzień szary i siedł w głąb, w węzowanie podziemne korzeni, w ślepe pulsowanie robaków i gąsienic, w głuche zamroczenie czarnoziemu i gliny.

A pod tym bezforemnym ogromem kucali ludzie ogłuszeni i bez myśli w głowie, kucali z głowami w dłoniach, wisieli niezgrabnie w pozie jeszcze wczorajszej i ślinili się bezwiednie.

Może ogłuszały ich te gęste grzechotki ćwierkania, te niestrudzone makówki sypiące szary śrut, którym ćmiło się powietrze. Chodzili ospale pod tym gradem ołowianym i rozmawiali na migi w tej ulewie rześkiej lub zrezygnowani milczeli.

Ale gdy około jedenastej godziny przed południem, gdzieś w jakimś punkcie przestrzeni przez wielkie spęczniałe ciało chmur wykuło się słońce bladym kielkiem – wtedy nagle w gałęzistych koszach drzew zaświeciły gęsto wszystkie pączki i szary welon ćwierkania oddzielił się powoli bladozłocistą siatką z twarzy dnia, który otworzył oczy. I to była wiosna.

Wtedy nagle, w jednej chwili, pusta przed chwilą aleja parku zasiana jest ludźmi śpieszącymi w różne strony, jakby była punktem węzowym wszystkich ulic miasta, i zakwita strojami kobiet. Jedne z tych prędkich i zgrabnych dziewcząt spieszą do pracy, do sklepów i biur, inne na schadzki, ale przez chwil parę, podczas których przechodzą przez ażurowy⁴¹ kosz alei dyszący wilgocią kwiaciarni i nakrapiany trelami ptaków – należą do tej alei i do tej godziny, są – nie wiedząc o tym – statystkami tej sceny w teatrze wiosny, jak gdyby zrodziły się na deptaku razem z tymi delikatnymi cieniami gałązek i listków, pączkującymi w oczach na ciemnozłotym tle wilgotnego żwiru, i biegną parę złotych, gorących i kosztownych pulsów, a potem nagle zbledną i zajądą cieniem, wsiąkną w piasek, jak te filigrany⁴² przeźrocze, gdy słońce wejdzie w zamyślenie obłoków.

Ale przez jedną chwilę zaroily aleję swym świeżym pośpiechem i z szelestu ich bielizny zdaje się płynąć ten bezimienny odór alei. Ach, te przewiewne i świeże od krochmalu⁴³ koszulki prowadzone na spacer pod ażurowym cieniem wiosennego korytarza, koszulki z plamami mokrymi pod pachą, schnące w fiołkowych powiewach dali. Ach, te młode, rytmiczne, zgrzane od ruchu nogi w nowych, skrzypiących jedwabiem pończoszkach, pod którymi kryją się czerwone plamy i pryszcze – zdrowe, wiosenne wypryski krwi gorącej. Ach, cały ten park jest bezczelnie pryszczaty i wszystkie drzewa wysypują się pączkami pryszczy, które pękają ćwierkaniem.

Potem aleja znów pustoszeje i po sklepionym deptaku gędoli⁴⁴ cicho drucianymi szprychami wózek dziecienny na smukłych resorach. W małym lakierowanym czółenku pogrążone w grządkę wysokich krochmalonych szlar⁴⁵ fularu⁴⁶ śpi jak w bukiecie kwiatów coś od nich delikatniejszego.

⁴¹ ażurowy – dekorowany układem otworów. [przypis edytorski]

⁴² filigran – rodzaj ornamentu wykonanego z cienkich drucików. [przypis edytorski]

⁴³ krochmal – mączka kartoflana gotowana w wodzie i stosowana do usztywniania tkanin. [przypis edytorski]

⁴⁴ gędolić – dźwięczeć (por. daw. gędźba: muzyka). [przypis edytorski]

⁴⁵ szlara – tu zapewne: coś przypominającego miękkie pióra (dosł.: pióra wokół oczu sowy). [przypis edytorski]

⁴⁶ fular – tu: delikatny jedwab. [przypis edytorski]

Dziewczyna, prowadząca powoli wózek, nachyla się czasem nad nim, przechyla na tylne koła, kwiląc osiami obręczy, ten bujający koszyk, rozkwitły białą świeżością, i rozdmuchuje pieszczotliwie ten bukiet tiulu aż do słodkiego, uśpionego jądra, przez którego sen wędruje jak bajka, podczas gdy wózek mija smugi cienia – ten przepływ obłoków i światła.

Potem w południe wciąż jeszcze plecie się ten pączkujący wirydarz⁴⁷ światłem i cieniem, a przez delikatne oka tej siatki sypie się bez końca świergot ptaszków – z gałęzi na gałązkę, sypie się perłście przez drucianą klatkę dnia, ale kobiety przechodzące brzegiem deptaku są już zmęczone i mają włosy rozluźnione od migreny i twarze znękaną wiosną, a potem już całkiem pustoszeje aleja, a przez ciszę popołudnia przechodzi powoli zapach restauracji z pawilonu parkowego.

⁴⁷ wirydarz – ozdobny ogród. [przypis edytorski]

XIV

Codziennie o tej samej godzinie przechodzi Bianka ze swą guwernantką⁴⁸ przez aleję parku. Cóż powiem o Biance, jakże ją opiszę? Wiem tylko, że jest w sam raz cudownie zgodna ze sobą, że wypełnia bez reszty swój program. Z sercem ściśniętym głęboką radością widzę za każdym razem na nowo, jak – krok za krokiem – wchodzi w swą istotę, lekka jak tanecznica, jak nieświadomie trafia każdym ruchem w samo sedno.

Idzie całkiem zwyczajnie, nie z nadmierną gracją, ale z prostotą chwytającą za serce, i serce ściska się ze szczęścia, że można tak po prostu być Bianką, bez żadnych sztuk i bez żadnego natężenia.

Raz podniosła powoli swe oczy na mnie i mądrość tego spojrzenia przeniknęła mnie na wskroś, przeszła jak strzała na wylot. Odtąd wiem, że nic nie jest jej tajne, że zna wszystkie moje myśli od początku. Od tej chwili oddałem się jej do dyspozycji, bez granic i niepodzielnie. Przyjęła ledwo widocznym skinieniem powiek. Stało się to bez słowa, w przejściu, w jednym spojrzeniu.

Gdy chcę ją sobie wyobrazić, mogę przywołać tylko jeden szczegół, nic nie znaczący: jej spierzchniętą skórę na kolanach, jak u chłopca, co jest głęboko wzruszające i prowadzi myśl w dręczące przesmyki sprzeczności, pomiędzy uszczęśliwiające antynomie⁴⁹. Wszystko inne, powyżej i poniżej, jest transcendentne i niewyobrażalne.

⁴⁸ *guwernantka* – prywatna nauczycielka domowa. [przypis edytorski]

⁴⁹ *antynomia* – sprzeczność. [przypis edytorski]

XV

Zagłębiłem się dziś znowu w markownik⁵⁰ Rudolfa. Co za cudowne studium! Ten tekst jest pełen odsyłaczy, aluzji, napomknięć i pełen dwuznacznego migotania. Ale wszystkie linie zbiegają się w Bianca. Co za uszczęśliwiające supozycje⁵¹. Od węzła do węzła biegnie moje podejrzenie, jak wzdłuż lontu, zażegniete⁵² świetlistą nadzieją – coraz bardziej olśnione. Ach, jak mi ciężko, jak ścisną się serce od tajemnic, które przeczuwam.

⁵⁰ *markownik* – klaser ze znaczkami, wykonany przez odpowiednie zaginanie kartek zeszytu. [przypis edytorski]

⁵¹ *supozycja* – tymczasowe, niezwyfikowane założenie. [przypis edytorski]

⁵² *zażegniete* (daw.) – zapalony. [przypis edytorski]

XVI

W parku miejskim gra teraz codziennie wieczorem muzyka i przez aleje przesuwają się promenada⁵³ wiosenna. Krążą i nawracają, mijają i spotykają się w symetrycznych, wciąż powtarzających się arabeskach⁵⁴. Młodzi ludzie noszą nowe, wiosenne kapelusze i trzymają niedbale rękawiczki w dłoni. Przez pnienie drzew i żywopłoty świecą w sąsiednich alejach sukienki dziewcząt. Idą te dziewczęta parami, kołysząc się w biodrach, napuszone pianą szlar i wolantów⁵⁵, noszą ze sobą, jak łabędzie, te różowe i białe napuszenia – dzwony pełne kwitnącego muślinu⁵⁶ i czasami osiadają nimi na ławce – jakby zmęczone ich pustą paradą – osiadają całą tą wielką różą gazy i batystu⁵⁷, która pęka, przelewając się płatkami. I wtedy odsłaniają się nogi założone jedna na drugą i skrzyżowane – splecione w biały kształt pełen nieodpartej wymowy, a młodzi spacerowicze, mijając je, milkną i bledną, rażeni trafnością argumentu, do głębi przekonani i zwyciężeni.

Przychodzi chwila przed samym zmierzchem i kolory świata pięknieją. Wszystkie barwy wstępują na koturny, stają się odświeżone, żarliwe i smutne. Szybko napęnia się park różowym werniksem⁵⁸, lśniącym lakierem, od którego rzeczy stają się naraz bardzo kolorowe i iluminowane. Ale już w tych barwach jest jakiś lazur zbyt głęboki, jakaś piękność zbyt jaskrawa i już podejrzana. Jeszcze chwila i gąszcz parku ledwie przysypany młodą zielenią, gałęzisty jeszcze i nagi, prześwieca cały na wskroś różową godziną zmierzchu, podbitą balsamem chłodu, napuszoną niewymownym smutkiem rzeczy na zawsze i śmiertelnie pięknych.

Wtedy nagle cały park staje się jak ogromna, milcząca orkiestra, uroczysta i skupiona, czekająca pod podniesioną pałeczką dyrygenta, aż muzyka w niej dojrzeje i wzbierze, i nagle nad tą ogromną, potencjalną i żarliwą symfonią zapada szybki i kolorowy zmierzch teatralny, jak gdyby pod wpływem tonów nabrzmiewających gwałtownie we wszystkich instrumentach – wysoko gdzieś przeszywa młodą zielenią głos wilgi, zaszytej w gęstwinie – i nagle naokoło staje się uroczyście, samotnie i późno jak w wieczornym lesie.

⁵³ *promenada* – tu: przechadzka. [przypis edytorski]

⁵⁴ *arabeska* – symetryczny, geometryczny ornament ze stylizowanych motywów roślinnych. [przypis edytorski]

⁵⁵ *wolant* – falbana naszyta na sukienkę lub spódnicę. [przypis edytorski]

⁵⁶ *muślin* – rodzaj półprzezroczystej tkaniny. [przypis edytorski]

⁵⁷ *batyst* – cienka tkanina z bawełny lub z lnu. [przypis edytorski]

⁵⁸ *werniks* – substancja na bazie żywicy, którą pokrywa się powierzchnię obrazów olejnych. [przypis edytorski]

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.